

Odyseja nadziei i smutku

"Marzę o tym, by 'my', które wypowiem pewnego dnia, było wspólnotą ludzi mądrych, którzy dążą do pokoju"
(Eric-Emmanuel Schmitt: „Ulisses z Bagdadu“)

Lampedusa to małeńka (25,4 km kw., nieledwie 9x3 km) skalista (najwyższe miejsce liczy 133 m n.p.m., dla porównania wzgórze św. Bronisławy, na którym usypano kopiec Kościuszki ma 333 m n.p.m.) bliżej Afryki niż Europy położona wysepka włoska z 6 tysiącami mieszkańców. Od Tunezji dzieli ją 113 km, od Malty 150, od Sycylii 200. Żyje na niej ok. 6 tysięcy mieszkańców, tzn. do niedawna tyłu żyło, teraz jest tam dodatkowo co najmniej drugie tyle imigrantów z Północnej Afryki (media podają różne liczby, od 6 do 16 tysięcy).

Dziś, po wczorajszej wizycie premiera Berlusconiego na wyspie, rozpoczął się ich wywóz do tzw. obozów przejściowych na Sycylii i w inne miejsca we Włoszech [1]. Ale co potem? Tego nikt jeszcze tak naprawdę nie wie. EU ich nie chce, Włochy czują się pozostawione same sobie, są w fatalnej sytuacji, uciekinierzy są w Europie w fatalnej sytuacji, u siebie też są w fatalnej sytuacji, Europa jest w fatalnej sytuacji.

Malta odesłała niedawno samolot z uciekinierami z walczącej Libii. Co nie znaczy, że nie zna problemu imigrantów, „liczba ewakuowanych cudzoziemców na wyspie ciągle rośnie, na maltańskim stadionie znalazło schronienie 3 tys. Turków, na wyspie przebywa także ok. 15 tys. obywateli Chin, ewakuowanych dzięki pomocy rządu Grecji”, podawała ostatnio prasa. Do Malty dotarły pod koniec marca dwa statki z 515 uciekinierami z Somalii i Erytrei. Wśród nich dużo kobiet i dzieci, a nawet inwalida na wózku; na morzu byli trzy dni i dwie noce.

Polska jest tym razem na uboczu zdarzeń, jej zadaniem jest pilnować wschodniej granicy EU przed nielegalnymi imigrantami z Azji — i to tyle. Jednak Polacy pilnie śledzą wydarzenia na południu Europy i na forach internetowych chętnie wypowiadają się na ten temat. Wnosząc z tonu wypowiedzi większości, lepiej, żeby nikt z Afryki nie wylądował w Polsce. Polacy — zupełnie niepomni tego, że sami od dawien dawna rozjeżdżali się po świecie w poszukiwaniu lepszych warunków życia — nie chcą słyszeć o żadnych imigrantach, wyrażają się o nich wrogo, nienawistnie, bez żadnej próby zrozumienia ich sytuacji.

Jasne, po zamachach islamskich terrorystów wszyscy muzułmanie są podejrzani. Ale są i będzie ich zapewne wśród nas coraz więcej, biegu historii zmienić nie sposób. A wobec tego dobrze jest poznać ich lepiej, weryfikować swoje zdanie o nich, nie postrzegać ich jedynie poprzez negatywne stereotypy, żyjemy wszak na jednej planecie. Przybliżają nas sobie filmy, tak dokumentalne jak i fabularne, oraz książki, reportaże i beletrystyka. Po przedstawieniu na Racjonaliscie „Czarnego statku” Sherko Fataha proponuję kolejną lekturę wartą przeczytania [2].

Założę się, że każdy z nas pamięta co robił 11 września 2001 roku, ale czy każdy z nas pamięta swój „20 marca 2003”? A to wtedy zaczęły się bombardowania Bagdadu. Ale odrealnione obrazy nie przekazywały grozy tego, co się tam wtedy naprawdę działo, w telewizjach całego świata migał jakiś fantastyczny spektakl z fajerwerkami i efektami specjalnymi, dla telewizji dzień jak co dzień, widowisko pod tytułem „wojna”, a nie prawdziwa wojna.

Tymczasem dla mieszkańców Bagdadu zaczęła się wtedy prawdziwa wojna. Najpierw było to obalenie reżimu Saddama zakończone błyskawicznym sukcesem, a potem rozpełtała się ta właściwa wojna, wojna jako stan przeciwny pokojowi ze wszystkimi jej tragediami i nieszczęściami. I ta trwa do dziś. Nie wiadomo dokładnie, jak wygląda jej aktualny bilans, różne źródła różnie podają, a rozbieżności są tak ogromne, że trudno uwierzyć w cokolwiek. Dość na tym, że straty w ludziach po stronie Iraku są wielokrotnością strat po stronie wojsk alianckich.

Ale o ile Ameryka & Co. traci swoich żołnierzy, a nie cywilów, bo ich tam nie ma, o tyle Irak traci wszystkich, i tych zaangażowanych w wojnę i tych, których wojna zmiata niejako z rozpędu, tylko dlatego, że są w jej strefie. Tych drugich na dzień dzisiejszy jest może i sto tysięcy, a może i więcej, może nawet dużo więcej. Są też

nieprzebrane ilości rannych. Na dzień dzisiejszy Bagdad jest jednym z najniebezpieczniejszych miast na świecie. Nikt z nas dobrowolnie nie chciałby tam mieszkać. A jednak mieszka tam siedem milionów ludzi.

Irak, kraj znacząco większy od Niemiec, ma trzy razy mniej mieszkańców (28 milionów), z czego jedna czwarta skupia się wokół stolicy (dla porównania Berlin liczy 3,5 miliona). I w tej ogromnej aglomeracji miejskiej już po pierwszej wojnie w Zatoce (1991) w dużym stopniu uległa zniszczeniu infrastruktura komunikacyjna, energetyczna i wodno-kanalizacyjna. Od 2003 roku jest tylko gorzej. Wyobrażacie to sobie?

Oczywiście, powiecie, sami sobie winni, mogli nie uderzać na Kuwejt, mogli nie zadzierać z Ameryką. To prawda. Ale ja tego nie rozpatruję od strony winy i kary władców, a z punktu widzenia zwykłego mieszkańca miasta, w którym nie da się żyć. Co bardziej zdeterminowany, odważny, dynamiczny będzie robił wszystko, żeby stamtąd uciec (czyż nie zrobilibyśmy tak samo?). A ponieważ praktycznie nie ma innej możliwości, niż nielegalnie, więc robi to nielegalnie.

Zaś z naszego punktu widzenia wygląda to tak: nie licząc jeszcze fali imigrantów, których przyczyną są rewolucje w krajach Afryki Północnej szacuje się, że ostatnimi czasy rok rocznie do Europy (głównie Zachodniej) przenikało około pół miliona nielegalnych imigrantów, mieszkańców czarnej Afryki i muzułmanów z Orientu. Postawieni poza prawem chcąc przeżyć zasilają środowiska przestępcze krajów, do których trafiają. Jeśli jakoś udaje im się uregulować swój status, to i tak w najlepszym razie dołączają do najbardziej upośledzonych warstw społecznych, a z tych bardzo ich łatwo zwerbować do organizacji terrorystycznych, bo człowiek, oprócz tego, że chce zjeść, mieszkać i kochać się, chce też coś znaczyć.

Zachód nie wie, jak sobie z tym stosunkowo nowym zjawiskiem społecznym poradzić, okres przeidealizowanej szczęśliwej wielobarwnej multikulturowości zamknął się ostatecznie 11 września 2001 roku. Ten Inny, którego jeszcze bronił Ryszard Kapuściński, jest dziś nie tylko inny etnicznie i kulturowo, ale jest realnym zagrożeniem bez względu na to, czy faktycznie jest zagrożeniem, czy tylko chce znaleźć się w takim miejscu na kuli ziemskiej — wspólnej wszystkim — gdzie po prostu da się żyć. I to spokojnie żyć. Zaprzeczanie, zwalczanie, wykluczanie na dłuższą metę niczego nie zmieni, my, Europejczycy, podbiliśmy świat, teraz świat podbija nas (że podłączę nas, Polaków, do zdobywców świata, choć nie zapominajmy, że i my garnęliśmy się do Zachodu bynajmniej nie stanowiąc go).

*

Nasz bohater nazywa się Saad Saad, co w jego języku oznacza „Nadzieja Nadzieja”, i jest mieszkańcem Bagdadu. Już w pierwszym okresie wojny traci ojca, ukochaną i kilka innych bliskich sobie osób. Kiedy życie w Bagdadzie staje się coraz bardziej beznadziejne, Saad Saad postanawia szukać szczęścia w Europie. Jego celem jest Londyn, miasto, o którym marzył, znane mu z angielskich powieści, jakich pełno było w domowej biblioteczce, bo to kulturalna, czytana rodzina była.

Podróż Bagdad-Londyn to w aktualnym kontekście globalno-politycznym ani łatwe, ani tanie przedsięwzięcie, ale Saad Saad jest, nomen omen, pełen nadziei. Nie przypuszcza, że oto porywa się na przeprawę godną porównania z pełną niebezpiecznych przygód tułaczką bohatera wojny trojańskiej Odysa-Ulissesa. A jednak... Saad Saad zmierzy się z tak godną swej nazwy odyseją, jakby starożytni bogowie chcieli zrobić sobie powtórkę z rozrywki i jeszcze raz rozegrać między sobą tamtą boską zabawę w „uda się — nie uda się”, której stawką był los Ulissesa.

Saad Saad wędruje więc lądami i morzami a bogowie a to go wspierają, a to chcą zgubić, jak to kapryśni bogowie, od starożytności ci sami, nieprzewidywalni, nieobliczalni, nieprzejednani. Czasami ma szczęście do ludzi. Ale częściej musi ludzi unikać. I ci nie zmienili się od starożytności, mogą okraść, zdradzić, a nawet zabić. Bardzo pomocny jest mu ojciec... nie, nie, oczywiście nie ojciec, ojciec przecież nie żyje, pomaga mu duch ojca, zjawia się gdy trzeba i wspiera syna lub, wręcz przeciwnie, nie popiera podjętej decyzji.

Saad Saad dyskutuje z ojcem a my, czytelnicy, jesteśmy świadkami mądrej, błyskotliwej, pełnej ciepła i humoru wymiany zdań między ojcem i synem i tym samym dojrzewania intelektualnego młodego mieszkańca Ziemi z nie naszego obozu wprawdzie, ale przecież też człowieka i też mającego swój rozum. Saad Saad wędruje przez świat, a zarazem reflektuje go, w końcu jest człowiekiem młodym i dopiero się uczy, pomaga mu w tym wykształcony i doświadczony ojciec, co wygląda na przykład tak:

- Zatem, mój synu, znalazłeś się w krainie Lotofagów.

- Gdzie?

— W krainie Lotofagów.

- Nie możesz mówić jak wszyscy?

- Staram się tego unikać.

- Nie przeszkadza ci, że nikt cię nie rozumie?

- Raduje mnie to. Wykrywanie głupoty, ujawnianie ignorancji i ściganie przeciętności zawsze sprawiało mi największą przyjemność.

/.../

- Jesteś okropny.

- Nie, ja ciebie kształtuję, uczę, poleruję. Czy nie zauważyłeś, że nie przestaję cię nawiedzać, gdy drepczesz w miejscu?

Saad Saad mimo kłód rzucanych mu pod nogi przez złośliwych bogów, rusza więc dalej, motywowany przez kochającego go ojca i bogów dobrotliwych wyciągających go z kolejnych tarapatów, a my, podróżując jego śladami, poznajemy zarazem współczesny świat z całkiem innej perspektywy, niż ta, która wydawała nam się dotychczas być jedyną słuszną, ba, jedyną w ogóle. I też poddajemy się kształtowaniu i polerowaniu.

Jednak im bliżej celu, tym smutniej się nam robi, wiemy przecież z góry to, o czym Saad Saad dopiero się dowie, że znaczenie jego imienia jest nam obce, że u celu arabskie „Nadzieja Nadzieja” przemieni się w angielskie „Sad Sad”, „Smutny Smutny”. I tego nawet olimpijscy bogowie nie będą w stanie zmienić, bezsilni wobec praw i podziałów ludzkiego świata obcych im czasów.

*

Więcej zdjęć tutaj.

*

8 lipca 2013 roku papież Franciszek I odwiedził Lampedusę (po niemiecku).

Wiadomość z TVN24.